

Koniec pewnego ładu regionalnego

14 czerwca 2011

Wśród elit Unii Europejskiej, którym, jak zazwyczaj, wtórują polskie elity, dominuje rasistowski lęk przed masową imigracją z ogarniętej rewolucją Libii, natomiast Stany Zjednoczone bardziej interesuje wpływ przebudzenia narodów arabskich na ład regionalny. Obawiają się one skutków upadku Mubarak – filaru ich polityki czy to wobec Iranu, czy wobec konfliktu izraelsko-arabskiego. Kalkulacje amerykańskie może wywrócić do góry nogami wtargnięcie na scenę polityczną arabskich opinii publicznych wrażliwych na golgotę Palestyńczyków.

Wielotygodniowe strajki i demonstracje zalały wielki kraj muzułmański. Kryzys gospodarczy i społeczny, grabież państwa przez rodzinę prezydenta, rozpasany autorytaryzm w końcu doprowadziły do wybuchu i wstrząsnęły tym filarem polityki amerykańskiej w regionie. Tymczasem Waszyngton opuścił swojego starego sojusznika. Sekretarz stanu USA zażądała od dyktatora, aby podał się do dymisji i „utorował drogę transformacji demokratycznej”.

Nie jesteśmy w Egipcie w lutym 2011 r., lecz w Indonezji w maju 1998 r. Żądanie wysunęła Madeleine Albright, a nie Hillary Clinton. Suharto, który doszedł do władzy z pomocą Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) w 1965 r. po zmasakrowaniu pół miliona rzeczywistych czy rzekomych komunistów, musi zejść ze sceny. Wraz z upadkiem Muru Berlińskiego (1989) i końcem Związku Radzieckiego (1991) Indonezja traci swoją rolę wysuniętego przyczółka w walce z komunizmem i w Waszyngtonie uznano, że lepiej będzie towarzyszyć ruchowi na rzecz demokratyzacji, wekslując go na tory korzystne dla Stanów Zjednoczonych. Tym bardziej, że prezydent William Clinton chce pokazać światu bardziej otwarty wizerunek Ameryki. W końcu okazuje się, że to zręczny wybór i

rząd w Dżakarcie zachowuje bliskie stosunki z Waszyngtonem, choć Indonezja, aktywny członek Organizacji Konferencji Islamskiej, potrafi okazać swoją niezależność, na przykład w sprawie irańskiego programu nuklearnego.

Jakie z tego wyciągnąć wnioski? Przede wszystkim taki, że żadna dyktatura nie jest wieczna, nawet gdy panoszy się w najludniejszym kraju muzułmańskim. Następnie taki, że zmiany wewnętrzne wywierają wpływ na politykę zagraniczną, ale rozmach zmian na tym polu jest rozmaity w zależności od kontekstu: Egipt to nie Indonezja, Bliski Wschód to nie Azja Południowo-Wschodnia.

W kuluarach Ministerstw Spraw Zagranicznych we Francji i w innych państwach zachodnich banałem stało się szydzenie z „ulicy arabskiej”. Doprawdy, czyż warto było liczyć się z tym, co myśli kilkaset milionów ludzi, po których w najlepszym razie można było spodziewać się jedynie skandowania islamistycznych i antyzachodnich haseł, gdy tak dobrze rozumiano się z przywódcami potrafiącymi zaprowadzić u siebie zbawienny ład, gdy monarchowie i prezydenci przyjmowali u siebie naszych przywódców, a nawet naszych intelektualistów, z orientalną wręcz gościnnością – w latach 1995-2001 ministrowie francuscy czterysta razy gościli prywatnie w Maroku – i gdy ci autokraci utrzymywali fikcję „procesu pokojowego”, choć postępowała izraelska kolonizacja ziem palestyńskich?

W ciągu kilku tygodni diabli wzięli mit o bierności narodów arabskich, ich niezdolności do demokracji. W rewolucjach w Tunezji, Egipcie i Libii, w ruchach wstrząsających regionem, od Algierii po Jemen i Bahrajn, a także po niearabski Iran, nie chodzi jedynie o wybór modelu społeczeństwa i rozwoju, ale również o politykę regionalną. Po raz pierwszy od lat siedemdziesiątych nie będzie można analizować geopolityki przynajmniej częściowo nie biorąc pod uwagę aspiracji narodów i krajów, które ponownie stały się aktorami swojego losu.

Przede wszystkim tak jest w przypadku Egiptu. O ile jest za

wcześniej na zarysowanie konturów jego przyszłej polityki zagranicznej, o tyle wszyscy obserwatorzy przyznają, że Biały Dom stracił wiernego sprzymierzeńca i lojalnego przyjaciela, na którym, podobnie jak na Izraelu, od 30 lat opierała się jego strategia regionalna – przypomnijmy, że Egipt brał udział w wojnie z Irakiem (1990-1991). W ostatnich latach Hosni Mubarak stanął na czele krucjaty przeciwko „zagrożeniu irańskiemu”, udało mu się szerzyć złudzenie „procesu pokojowego” wywierając presję na władze Autonomii Palestyńskiej, aby skłonić je do kontynuacji rokowań z Izraelem, i regularnie goszcząc w Szarm asz-Szajch przywódców izraelskich, choć wszystko świadczyło, że nie chcą oni żadnego porozumienia pokojowego. Mubarak uczestniczył w blokadzie Gazy i przyczynił się do fiaska wszelkich prób pojednania między Hamasem a Fatahem – nawet tego, które wynegocjowało inne „umiarkowane” państwo, a mianowicie Arabia Saudyjska (porozumienia zawarte w maju 2007 r. w Mekce). Podczas obecnego zimowego powstania niektórzy demonstranci nosili transparenty w języku hebrajskim, bo – jak wyjaśniali – jedyny język zrozumiały dla Mubaraka to język przywódców izraelskich.

Najwyższa Rada Egipskich Sił Zbrojnych, na razie sprawująca faktyczną władzę w Kairze, uznała za stosowne zapewnić Waszyngton i Tel Awiw, że Egipt dotrzyma swoich zobowiązań międzynarodowych – chodzi o porozumienie z Camp David (1998) i egipsko-izraelski układ pokojowy podpisany w 1979 r. Choć jest mało prawdopodobne, aby naród egipski zażądał powrotu do stanu wojny z Izraelem, to jednak nie uważa on owego porozumienia za czynnik pokoju i stabilności regionalnej – wręcz przeciwnie. Jak pisze Steven A. Cook z nowojorskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (CFR), „z punktu widzenia wielu Egipcjan porozumienie to beznadziejnie paraliżowało władze Kairu, pozwalając jednocześnie Izraelowi i Stanom Zjednoczonym bez przeszkód bronić swoich interesów regionalnych. Izrael, nie obawiając się groźby wojny z Egiptem, wypełnił setkami tysięcy Izraelczyków osady na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy, (dwukrotnie) najechał Liban [w 1982 i 2006 r.], ogłosił

Jerozolimę swoją stolicą i zbombardował Irak i Syrię.” [1]

Ilekroć naród egipski miał okazję, wyrażał swoją solidarność z Palestyną i Libanem. Podczas drugiej napaści Izraela na Liban butiki kairskie pełne były portretów Hasana Nasrallaha, przywódcy Hezbollahu, gdy tymczasem reżim egipski potępiał tę organizację zarzucając jej awanturnictwo. Demonstranci egipscy, którzy bili się o pluralizm i demokrację, nie żywią wyrażonej sympatii do Iranu, państwa niearabskiego i szyickiego, historycznie postrzeganego jako rywal, którego represyjny kurs wewnętrzny codziennie się potwierdza. Natomiast cenią sobie jego odmowę ugięcia się przed dyktatami Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Jutro bardziej reprezentatywny rząd w Kairze będzie musiał brać pod uwagę ich opinię zarówno jeśli chodzi o Strefę Gazy, jak i o stosunki z Izraelem, i z pewnością będzie prowadził ostrożniejszą politykę wobec amerykańskich prób stworzenia (nie zadeklarowanego) wspólnego antyirańskiego frontu państw arabskich i Izraela.

Pole manewru władz egipskich będzie również zależało od jego mocy gospodarczych, osłabionych przez długoletnią „liberalizację” ekonomiczną. Egipt jest uzależniony od amerykańskiej pomocy wojskowej i żywnościowej oraz od funduszy Unii Europejskiej, a gospodarka egipska jest krucha. Niektórzy wskazują na możliwość prowadzenia przezeń niezależnej polityki zagranicznej podobnej do Turcji, ale pole manewru władz w Ankarze ma oparcie w dynamizmie gospodarki tego kraju. Przy mniej więcej takiej samej liczbie ludności, turecki PKB jest trzykrotnie większy niż egipski.

Wstrząsy w Kairze zaniepokoiły inne państwa arabskie uważane za „umiarkowane”, a przede wszystkim Arabię Saudyjską. Król Abdullah wstawił się za Mubarakiem u Baracka Obamy. Przywódców tych państw obleciał strach – boją się zmierzchu hegemonii amerykańskiej w regionie. Zdolność Stanów Zjednoczonych do skonsolidowania szerokiego frontu przeciwko irańskiemu

programowi nuklearnemu nie przysłoniła nawet ich fiaska w Iraku – wojska amerykańskie miały wycofać się z tego kraju przed końcem roku, a tymczasem do Iraku również dotarła fala masowych protestów zalewająca region – ani ich ugrzęźnięcia w Afganistanie, ani wreszcie ich niemożności nakłonienia rządu izraelskiego do zahamowania kolonizacji.

Dymisja rządu libańskiego Saada Hariri w styczniu 2011 r. i postawienie przez Amerykanów krzyżyka na Mubaraku spotęgowały lęki arabskich „umiarkowanych”, przerażonych rozprzestrzenianiem się ruchu na rzecz demokratyzacji od Jemenu po Jordanię. Nawet młodzież z Zatoki Persko-Arabskiej nie jest niewrażliwa na to, co dzieje się w Tunezji i Egipcie. Saudyjski dziennik Al-Watan (z 16 lutego br.) w lekko tylko zawołanym ostrzeżeniu skierowanym pod adresem władz zaapelował, aby liczyć się z aspiracjami tej młodzieży, która „interesuje się planami rozwoju, przygląda się ich wdrażaniu, tempu ich realizacji, mierzy ich skuteczność i koszty oraz wymienia informacje o tym, kto korzysta, a kto traci na tych planach” – była to aluzja do korupcji, którą w królestwie Saudów przeżartych jest wiele z nich. Lecz jeszcze przed wybuchem rewolucji w świecie arabskim Arabia Saudyjska zaczęła poszukiwać bardziej samodzielnej drogi w regionie, o czym świadczy jej zbliżenie z Syrią. W styczniu 2011 r. odpowiedziała pozytywnie na gesty nowego irańskiego ministra spraw zagranicznych, Alego Akbara Salehiego.

Jeśli chodzi o władze Autonomii Palestyńskiej, to w osobie Mubaraka tracę one wiernego sojusznika, wrogo nastawionego do idei pojednania z Hamasem. Mubarak był rękojmnią ich polityki rokowań z Izraelem. Muszą brać to pod uwagę. W połowie lutego br., podczas debaty nad projektem rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, który zgłosiły, potępiając w nim kolonizację izraelską, Obama zadzwonił do prezydenta Autonomii Mahmuda Abbasa i zażądał, aby wycofał on projekt. Mimo silnych nacisków Obamy, Abbas odmówił na znak, że zaostrza swoją strategię i nie idzie na pasku wielkiego amerykańskiego brata,

a Obama musiał zawetować rezolucję. Czy na Zachodnim Brzegu – podobnie zresztą jak w Gazie – impas sprawi, że młodzież wyrazi swoje dążenia i zażąda więcej wolności i godności, wpisze swoją walkę w ramy obrony praw człowieka i równości oraz pokojowo wyjdzie na ulice, jednocześnie przeciwko swoim własnym przywódcom i przeciwko okupacji izraelskiej? Jak ujawniono na łamach Jerusalem Post, armia izraelska z lękiem przygotowuje się na taką ewentualność, tworząc siły szybkiego reagowania [2].

Rząd Beniamina Netanjahu, jeszcze bardziej zatroskany niż arabscy sojusznicy Waszyngtonu, nie zawahał się zmanifestować swojego niezawodnego poparcia dla Mubaraka. Postawa ta, zauważa Daniel Levy, wpływowy członek think tanku New America Foundation, stawia w szczególnym świetle nieustanne powoływanie się władz w Tel Awiwie na to, że Izrael to „jedyna demokracja na Bliskim Wschodzie” – frazes ten to nie wyraz lęku przed izolacją, okrążeniem przez dyktatury, lecz przeciwnie, pragnienie, aby pozostać „jedyną” [3]. Kolejnym rządom w Tel Awiwie autorytarne reżimy prozachodnie w państwach arabskich tym bardziej były na rękę, że dzięki nim Izrael mógł ignorować uczucia solidarności narodów arabskich z Palestyńczykami.

Na razie Tel Awiw jest sparaliżowany przez zachodzące zmiany, umyślnie wyolbrzymia rolę islamistów, czyni paralele z rewolucją islamską 1979 r. w Iranie, uprawia fanfaronadę na temat „zagrożenia irańskiego”, którego jego zdaniem świat nie rozumie, lub informuje żołnierzy – jak uczynił to minister obrony Ehud Barak podczas wizyty na froncie północnym – że mogą dostać rozkaz ponownego najechania na Liban [4].

Jeśli „Zachód przegrał”, to czy zyskała na tym oś Damaszek-Teheran wraz ze swoimi sprzymierzeńcami z Hamasu i Hezbollahu? Bezspornie tak, ale wyraźnie widać jej słabe strony. Hamas okopał się w Gazie, a prawdopodobne postawienie przywódców Hezbollahu w stan oskarżenia przez Trybunał Specjalny dla Libanu do zbadania i osądzenia sprawy zabójstwa byłego

libańskiego premiera Rafika Hariri osłabia tę organizację [5]. O ile przywódcy irańscy cieszą się z rewolucji egipskiej, o tyle bezlitośnie rozprawili się z demonstrantami wysuwającymi podobne postulaty i uruchomili straszną spiralę represji.

Prezydent Syrii Baszar al-Assad ma w rękę dwa atuty: obawę społeczeństwa syryjskiego, że zamieszki doprowadzą do niestabilności na modłę iracką – do starć na tle wyznaniowym – oraz twardą, cieszącą się bezsporną popularnością, postawę wobec Izraela. Wdrażaniu programów „liberalizacji” gospodarczej towarzyszy jednak duży przyrost demograficzny i Syria musi stawić czoło poważnym trudnościom gospodarczym i społecznym, nie mówiąc już o tym, że młodzi Syryjczycy aspirują do wolności i pod tym względem niewiele różnią się od młodzieży w innych krajach arabskich.

Wspomnieliśmy o Indonezji i o tym, jak Waszyngton potrafił przystosować się do upadku dyktatury w tym kraju. Główna różnica w porównaniu z dzisiejszym Bliskim Wschodem polega na tym, że tu mamy do czynienia z kwestią palestyńską. Liczni obserwatorzy mylą się sądząc, że dla „ulicy arabskiej” Palestyna stała się sprawą drugorzędną. W Kairze to organizatorzy demonstracji rozmyślnie wyrugowali wszelkie hasła antyamerykańskie i antyizraelskie, gdyż postanowili skupić się na jednym przeciwniku – co wszyscy demonstranci przyjęli ze zrozumieniem. Natomiast po upadku Mubaraka, podczas gigantycznych obchodów zwycięstwa, które odbyły się 18 lutego w Kairze, demonstranci masowo podchwycili hasła wyzwolenia Jerozolimy.

W ciągu dziesięcioleci Stany Zjednoczone mogły niemal bezwarunkowo popierać Izrael nie płacąc za to żadnej ceny poza niepopularnością na „ulicy arabskiej”, którą mieli w nosie, bo przywódcy arabscy trzymali z nimi. Ten okres się kończy. Już w marcu 2010 r. gen. David Petraeus, wówczas szef Centralnego Dowództwa Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie (CENTCOM), stwierdził: „Gniew Arabów spowodowany przez kwestię palestyńską ogranicza siłę i głębię partnerskich stosunków

Stanów Zjednoczonych z rządami i narodami na Obszarze Odpowiedzialności CENTCOM i osłabia wiarygodność umiarkowanych reżimów w świecie arabskim.” [6] Nowy kontekst geopolityczny postawi administrację amerykańską wobec konieczności dokonania kluczowych wyborów. Lecz czy będzie chciała i czy będzie mogła ich dokonać?

Takie pytania można również zadać Unii Europejskiej, skompromitowanej zażyłą współpracą z Ben Alim i Mubarakiem. Czy UE, niezdolna do zdystansowania się w najmniejszym stopniu od dyktatur na Bliskim Wschodzie, mnożąc porozumienia z rządem izraelskim wrogo nastawionym do wszelkiej idei pokoju, promująca politykę neoliberalną, która przyczyniła się do zubożenia i zmasowanej korupcji w krajach położonych na południe od Morza Śródziemnego, odważy się wreszcie wziąć pod uwagę „ulicę arabską”, której – jakimś cudem – nie stanowią fanatyczni brodacze i kobiety w burkach? Czy też raczej społeczeństwo obywatelskie Północy będzie musiało – do czego zachęca je libański uczony Georges Corm – wziąć przykład z „ulicy arabskiej”, bo okaże się, że „to ono z kolei powinno podnieść poziom kontestacji wobec groźnej oligarchii neoliberalnej zubożającej gospodarkę europejską, nie stwarzającej dostatecznych szans zatrudnienia i co roku skazującej wielką liczbę Europejczyków z wszystkich krajów na niepewne warunki pracy i życia”? Corm wskazuje, że „ta negatywna ewolucja też odbyła się z korzyścią dla niewielkiej warstwy menedżerów, których roczne wynagrodzenia pochłaniają coraz większą część bogactwa narodowego.” [7]

W ciągu kilkunastu lat świat stał się policentryczny. Każdy duży kraj, od Brazylii po Chiny, od Indii po Afrykę Południową, szuka dla siebie miejsca – nie przeciwko Zachodowi ani w służbie Zachodu, lecz obok Zachodu, pragnąc bronić swoich własnych interesów. Turcja, państwo członkowskie NATO, sojusznik Stanów Zjednoczonych, odgrywa coraz większą rolę regionalną dając dowody swojej niezależności w sprawie irańskiego programu nuklearnego czy w sprawie Palestyny [8]. Z

kolei Maghreb i Bliski Wschód starają się dołączyć do tego ruchu planetarnego. „To, czego żądają narody tego regionu, to możliwość sprawowania kontroli nad swoim życiem i losem”, stwierdza Graham Fuller, były funkcjonariusz CIA i autor książki pt. *The Future of Political Islam*. „To jednak zależy z kolei od tego, czy Stany Zjednoczone skończą ze swoimi nieustannymi interwencjami zewnętrznymi w regionie. Na krótką metę recepta jest surowa – Waszyngton musi się usunąć i pozostawić społeczeństwa bliskowschodnie w spokoju, kładąc kres ich długotrwałej infantylizacji politycznej. Musimy skończyć z naszymi nieustannymi i obsesyjnymi dążeniami do interwencji i mikrozarządzania życiem politycznym obcych państw w oparciu o krótkowzroczną wizję 'interesów amerykańskich'.” [9]

„Ani Wschód, ani Zachód”, skandowali demonstranci irańscy w 1979 r., afirmując swoją wolę konfrontacji zarówno ze Stanami Zjednoczonymi, jak i ze Związkiem Radzieckim. „Ani z Zachodem, ani przeciwko niemu”, mogliby skandować dziś demonstranci w całym świecie arabskim, afirmując swoją wolę niepodległości i suwerenności w świecie, który jest wielobiegunowy – o czym oni wiedzą. Oceniają Zachód po tym, czy będzie potrafił bronić zasad sprawiedliwości i prawa międzynarodowego wszędzie na świecie, a zwłaszcza w Palestynie, ale nie zgodzą się już, aby ktoś wykorzystał walkę z Zachodem do zaprowadzenia dyktatury.

Autor: Alain Gresh

Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] S.A. Cook, „The U.S.-Egyptian Breakup”, 2 lutego 2011 r., <http://www.foreignaffairs.com>

[2] Y. Katz, „IDF Prepares Over Fears of Egypt-style W. Bank Demos”, *The Jerusalem Post*, 18 lutego 2011 r.

[3] D. Levy, „Israel's Option After Mubarak”, 13 lutego 2011

r., <http://english.aljazeera.net>

[4] Haaretz, 15 lutego 2011 r.

[5] Patrz „Beyrouth dans les rets du Tribunal spécial”, Le Monde diplomatique, luty 2011 r.

[6] Przesłuchanie Petraeusa przed senacką komisją ds. sił zbrojnych, 16 marca 2010 r.

[7] G. Corm, „Quand la ‘rue arabe’ sert de modèle au Nord”, 11 lutego 2011 r., www.lemonde.fr

[8] Patrz W. Kristianasen, „Ni Orient ni Occident, les choix audacieux d’Ankara”, Le Monde diplomatique, luty 2010 r.

[9] Graham Fuller, „Revolution in Egypt”, Christian Science Monitor, 4 lutego 2011 r.